

Wrócił z Hukiem z porannego spaceru dwadzieścia pięć po siódmej, nasypał mu karmę do miski, a kwadrans później sam był już po śniadaniu, przebrany i gotowy do wyjścia.

Dokładnie tak, jak by sobie tego życzyła mama.

Tyle że resztę dnia zamierzał spędzić całkiem nie po jej myśli. Ale akurat o tym mama nie musiała wiedzieć.

- Jak leci, Bob? - zagadał grubym głosem do swojego odbicia w lustrze. Ktoś, kto chce zostać podróżnikiem, żuźlowcem albo aktorem, nie może mieć na imię Piotrek ani Łukasz. A już na pewno nie Maciek.

- Nie najgorzej, Bob - odpowiedział mu Bob z lustra i podniósł kciuk gestem podpartym na filmie. - Jak na swoje dziewięć lat wyglądasz całkiem dorośle.

- Dziewięć lat i dwa miesiące - poprawił go Bob sprzed lustra. Odwrócił się od lustrzanych drzwi szafy i drugi Bob zniknął.

Teraz pozostało mu już tylko poczekać na telefon od mamy.

Zadzwoiła dokładnie za piętnaście ósma. Punktualna i przewidywalna jak lekcja polskiego z panią Książkiewicz.

- Nie śpisz już, Maciusiu? - usłyszał. „Maciusiu"! Bob zacisnął powieki i policzył do trzech.

- Wstałem o siódmej - odparł zgodnie z prawdą. - Już wychodzę do szkoły - skłamał.

Właśnie wtedy pierwszy raz poczuł na sobie spojrzenie Huka. Ze swego legowiska w rogu salonu czarny labrador przyglądał mu się podejrzliwie.

- Bałam się, że zaśpisz. Pani Książkiewicz by się martwiła, gdybyś się spóźnił na lekcję.

Pani Książkiewicz uwierzy we wszystko, co jej powiem -pomyślał. - Na przykład, że zachorowałem i musiałem zostać w domu.

Huk zaskamlał. Bob gotów był przysiąc, że wielkie wilgotne oczy labradora patrzą na niego z wyrzutem.

- Muszę kończyć - powiedział szybko do słuchawki. - Bo się naprawdę spóźnię.

- Wiesz co? - Cisza po drugiej stronie się przeciągała i Bob zaczynał się domyślać, co za chwilę usłyszy. - Jeśli naprawdę bardzo chcesz, pozwolę ci w wakacje pojechać do taty. Cieszysz się?

- Jasne.

Odłożył słuchawkę i chwycił plecak spod biurka.

- Wcale się nie cieszę -gderał pod nosem, idąc do przedpokoju. - Nie teraz, kiedy tata ma nowy dom, nową żonę, nowego psa i nowego synka.

Huk zdążył zmienić miejsce. Leżał teraz rozciągnięty jak długi w przedpokoju pod samymi drzwiami.

- No, rusz się. Tarasujesz mi drogę.

Machnął ogonem, ale się nie przesunął.

- Zmiataj stąd, bo się spóźnię do szkoły!

Czarny labrador usiadł i głucho zaszczekał.

- No dobra, zgadłeś, nie idę do szkoły. Ale tobie nic do tego. Złapał za czerwoną obrozę z wyszytym „HUK” i szarpnął. Wszystko na nic.

Wtedy zrobił coś, czego wcale nie zamierzał, choć jeśli chciał być na tyle dorosły, by pójść na wagary, to nie miał wyboru - kopnął Huka w zadek. Pies zaskowytał i z podkulonym ogonem odbiegł w głąb pokoju.

Bob zamknął drzwi na klucz, z ósmego wszedł na ostatnie, dziesiąte piętro, schował plecak z książkami do schowka gospodarczego i wcisnął guzik windy.

Kiedy przyjechała, wszedł i wybrał parter.

Serce mu waliło, jakby przed chwilą pokonał nie dwa, lecz dwadzieścia dwa piętra. Winda gładko i bezszelestnie sunęła w dół. Tylko jakby szybciej niż zwykle. Tak, dużo szybciej! Oznakowania pięter na wyświetlaczu zmieniały się w takim tempie, że nie dał rady ich odczytywać.

Złapał się uchwyty pod lustrem, zamknął oczy i próbował nie myśleć, co kryje się w dole, pod jego stopami.

Powiało chłodem. Prąd powietrza niczym zimna wilgotna dłoń wślizgnął mu się pod T-shirt i wędrował po plecach, oplatając go jak sznurem.

Winda zatrzymała się tak raptownie, że ledwo ustał. Niewidoczny sznur krępował go coraz ciaśniej.

Nagle zapragnął wrócić. Zrobiłby wszystko, by z powrotem znaleźć się na górze, w czterech ścianach własnego mieszkania.

Drzwi windy powoli się otworzyły. Wbił się w kąt kabiny i drżącą ręką wybrał przycisk z cyfrą osiem. Bezskutecznie. Ponowił próbę. Winda ani drgnęła.

- Wysiadaaj, Bob - usłyszał obcy głos. - Jesteś na miejscu.

Wcale nie zamierzał zastosować się do polecenia, ale zanim się spostrzegł, był już na zewnątrz i drzwi windy zasunęły się za jego plecami. Błyskawicznie okręcił się na pięcie i zrobił krok w kierunku windy, kiedy czyjś krzyk osadził go w miejscu:

- Uważaj, łamago!

Ktoś przebiegł tak blisko, że omal Boba nie przewrócił: chłopiec w jego wieku, spocony i z twarzą czerwoną od wysiłku, uginający się pod ciężarem wielkiej kamiennej litery „E”.

Windy nie było! Zniknęły znajome budynki osiedla. Otoczony wysokim murem plac trochę przypominał szkolne boisko. Pośrodku wznosiła się wysoka betonowa budowla w kształcie piramidy, z szerokimi schodami po obu stronach. Dźwigając na plecach wykute w kamieniu litery, chłopcy i dziewczyny wspinali się na jej szczyt, potem drugimi

schodami zbiegali w dół, okrążali budowlę i ponownie zaczynali mozolną wędrówkę pod górę.

- Spóźniłeś się! - Na ramieniu Boba wylądowała ciężka ręka. - No to, bratku, dziś po-pracujesz dłużej!

Mężczyzna z twarzy do złudzenia przypominał woźnego, którego Bob znał ze szkoły. Woźny nazywał się Zdun, ale nawet najmłodszy uczniowie przezywali go Kubeł i obrzucali papierkami.

Tyle że Kubeł po tej stronie windy był od tamtego o trzy głowy wyższy i miał bary atlety. Podniósł Boba na wysokość oczu i przyjrzał mu się uważnie.

- A, jesteś nowy. - Postawił chłopca na ziemi. - To najpierw marsz do kierownika.

Trzymając Boba jedną ręką^ drugą uchylił metalowe drzwi u podstawy betonowej bu-dowli i wepchnął Boba do środka. Duży pokój rzeźbiście oświetlały ściennie lampy, a zawie-szone pod wysokim sufitem wentylatory cicho młóciły powietrze.

- Melduje się posterunkowy Szwarc. Przyprowadziłem nowego - zakomunikował. -



Nie chcę narzekać, panie kierowniku, ale ostatnio trafiają się nam same mizeroty.

Szurnęło odsuwane krzesło i kierownik wstał zza biurka.

- Oj, Bob, Bob - mruknął smętnie. - Miałem nadzieję, że nigdy cię tu nie zobaczę.

- Huk! - ucieszył się Bob. - To naprawdę ty?

- Pan Huk - poprawił go czarny labrador, trącając łapą plastikowy identyfikator przy klapie jasnej marynarki dopasowa-nej do tabaczkowych spodni. Długo się Bobowi przyglądał przez okulary w rogowej oprawie. - No to sobie napytałeś biedy!

- Mówisz o wagarach? Phi! Szkoła to nuda.

- Może i tak. Ale jak świat światem nikt niczego lepszego jeszcze nie wymyślił.

- Odezwał się ten, co chodził do szkoły!

- A żebyś wiedział! - Huk pokazał zawieszone nad biurkiem dyplomy. - Ukończyłem przedszkole dla szczeniąt, kurs psa to-

warzyszacego, trzystopniowe szkolenie z zakresu posłuszeństwa i psią akademię. Ty nie zaliczyłeś nawet połowy podstawówki. - Krzywiąc się z bólu, pomacał się po zadku. - Szkoda, że nie miałem zajęć z pierwszej pomocy medycznej...

- Przepraszam! - Bobowi zrzędła mina. - To się więcej nie powtórzy.

W głośniku nad drzwiami zatrzeszczało i piskliwy głos zawołał:

- Naturalnie, że nie, bo nie będziesz miał więcej okazji. Huk, dawaj go tu zaraz! Czekam!
- Huk położył Bobowi łapę na ramieniu, jakby chciał mu dodać otuchy.
- Już cię wywęszył - powiedział szeptem. Otworzył metalowe drzwi i obaj wyszli na spowity mdłym słońcem świat.
 - Kto taki?
 - Tyberiusz. To on tu jest najważniejszy. Staraj się mu nie podpaść.
- Ubrany w czystutki czerwony kombinezon z wielką złotą literą „T” na piersi, Tyberiusz siedział za kierownicą wozu terenowego z odkrytym dachem i zagryzał serowe paluszki.
- Szczur? - wyrwało się Bobowi. Tyberiusz zręcznie wyskoczył z samochodu.
 - Gdybyś się bardziej przykładał do nauki - powiedział, patrząc na Boba z góry - tobyś wiedział, że bijemy was na głowę inteligencją. - Spojrzał na labradora. - Kolego Huk, co mówi nauka?
 - Jeśli rasa ludzka wyginie, właśnie szczury zajmą jej miejsce.
 - Nie „jeśli”, ale „kiedy”, panie Huk! Upadek ludzkiej cywilizacji to kwestia czasu. Moi przodkowie napisali na ten temat setki opracowań.
 - Tyberiusz wywodzi się ze starożytnego Rzymu - wyjaśnił Huk.
 - Z cesarskiego rodu, Huk! - zapiszczał Tyberiusz. - Bądź łaskaw nie zapominać. Chyba że wam, psom, takie szczegóły wydają się równie warte uwagi co plastikowa kość.
 - Przepraszam - bąknął Huk.
 - Wspaniałomyślnie wybaczam. - Tyberiusz ujął chłopca pod brodę. - A więc to jest nasz Bob!
 - Właściwie to mam na imię Maciek...
 - Bob, niech tak zostanie. - Pokazując drobne postacie na schodach piramidy, uginające się pod ciężarem kamiennych liter, głośno wymieniał: - Ken, Luke, Stan, Pat, Bob, Lia, Met, Rob. Im krócej, tym lepiej. Łatwiej wami dyrygować.
 - Dyrygować? - podchwycił Bob.
 - Wydawać polecenia i rozkazy. Wystarczy odrobinę dłuższe słowo, a już się gubicie. Ale tu nikt mądrości od was nie wymaga. Cieszysz się, Bob?
- Bob gotów był przysiąc, że w korowodzie dźwigających kamienne litery postaci dostrzega znajome twarze. Wszyscy bez wyjątku mieli smutne spojrzenia i poruszali się krokiem przeznaczonych na złom robotów. Zapiekły go oczy.
- Za to Tyberiusz na widok nieszczęśników śmiał się i klaskał.
- Szkolne obiboki, lenie, nieroby, wagarowicze! Tępaki kochane! Co ja bym bez was począł...
- Przeniósł spojrzenie na Boba i mrużąc oczy, długo taksował go wzrokiem.
- Od jakiej litery by z tobą zacząć? Może od „C” ...
 - Też coś! - obruszył się Bob. - Znam cały alfabet.

- Ha, ha, ha! - Tyberiuszowi ze śmiechu trzęsły się długie wąsy. - Nie o naukę chodzi, gamoni, a o wzmocnienie mięśni.

- Nie rozumiem...

- Kiedy już świat trafi w nasze łapy, potrzebne nam będą żywe maszyny o silnych mięśniach i małych mózdkach. - Uszczypnął Boba w policzek. - Z nauki nikomu nic dobrego jeszcze nie przyszło, prawda, chłopcze?

- Kiedy ja lubię się uczyć! - Bob zaprotestował przez łzy.

- Tak? A czytałeś ostatnio jakąś książkę? To może chociaż opowiadanie dłuższe niż na pół strony? Też nie? No to sam widzisz. - Wcisnął klakson samochodu i zawołał: - Postęrkowy Szwarz, macie nowego chłopaka od litery „C”!

Raptem Bob poczuł na ramionach kamienny ciężar i usłyszał głos Szwarca:

- U mnie nawet nie próbuj się obijać! No, ruszaj!

„C” było zimne jak wielki sople lodu i wbijało się w plecy, jakby dostało zębów. Z każdym stopniem piramidy zdawało się ważyć więcej. Kiedy doczłapał na szczyt budowli, w głowie mu huczało, jak gdyby pod czaszką załagał mu się rój pszczoł. Ostrożnie zrobił krok w dół, jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Nagle stracił równowagę.

- Huk, ratuj! - zawołał.

I wówczas wyraźnie, zupełnie jakby Huka miał tuż przy uchu, a nie pięćdziesiąt metrów niżej, usłyszał jego przynaglający szept:

- Trzy magiczne słowa pani Książkiewicz! Na co Tyberiusz wybuchnął:

- Ostrzegam, panie Huk, jeszcze jeden taki wybryk, a nieodwołalnie zamienię cię w człowieka!

„Każdy z nas musi mieć w życiu cel - powtarzała pani Książkiewicz. - Ludzie pozbawieni celu kręcą się w kółko jak wirujący bąk. Musimy mieć też ciekawość odkrywcy. I jeszcze cierpliwość, by cel osiągnąć. Cel, ciekawość, cierpliwość. Te trzy magiczne słowa - wbijała im na lekcjach do głów - znaczą więcej niż wkuwane na pamięć formułki”

I kiedy wielkie kamienne „C” ciągnęło go nieuchronnie ku ziemi, Bob wyrecytował najszybciej jak potrafił:

- Cel. Ciekawość. Cierpliwość.

Poczuł szarpnięcie - i raptem przestał spadać. Kołysząc się łagodnie, jakby miał nad sobą otwarty spadochron, który ktoś energicznie ciągnie w górę, wznosił się wyżej i wyżej.

- Nareszcie - powitał go znajomy głos. - Ledwo cię dobudziłam.

Mama przestała nim potrząsać, ale minę wciąż miała przejętą.

- Aleś mnie wystraszył! Nie odbierałeś telefonu, więc się wyrwałam z pracy, patrzę, a ty leżysz na łóżku w ubraniu, spocony i blady jak kreda.

- Czyli przysnąłem? Uff!

- Pewnie za dużo się uczysz. W każdym razie dziś do szkoły nie pójdziesz.
 - Nic mi nie jest! - Zerwał się z łóżka. - Zjadłem coś niestrawnego i tyle.
 - Na pewno? To ci zaparzę rumianku, zaraz poczujesz się lepiej.
- Odczekawszy, aż mama zniknie w kuchni, przykucnął przy Huku.
- Całe szczęście, że wszystko mi się tylko śniło.

A wtedy Huk powiedział: „Pst!” znajomym gestem położył mu łapę na ramieniu, drugą stuknął w czerwoną obrozę ze swoim imieniem - i mrugnął jak spiskowiec.

Na pierwszy rzut oka Maciek nie zauważył zmiany. Dopiero gdy dobrze się przyjrzał, zobaczył, co Huk chce mu pokazać: na obroży przybyło liter. Teraz układały się w napis: „PAN HUK”.

Grzegorz Gortat, *Piętro, na którym wysiadł Bob*, [w:] *Opowiadania z dreszczykiem. Polscy pisarze dzieciom*, Łódź 2013, s. 106–119